

Dzieci Pahiatua – konkurs

OPOWIADANIE

DWIE OJCZYZNY WIECZNA TĘSKNOTA



Sp. w Pstroszycach
Aleksandra Sroga
kl. VI

Od dłuższego czasu pomagam w krakowskim domu seniora. Mieszkają tam ludzie, którzy dużo przeżyli, mają bogatą wiedzę i doświadczenie życiowe. Czasy ich młodości znacznie różniły się od naszych. Przykładem tego jest historia z pamiętnika pani Zofii Szpak.

Obok budynku domu seniora znajduje się duży park. Zawsze odwiedzałam go po wizycie u lokatorów ośrodka. Przechadzając się po uliczkach wśród śpiewu dopiero co przybyłych na wiosnę ptaków natknęłam się na coś nietypowego. Obok małej ławki, na zieleniącej się dopiero co trawie leżał czerwony przedmiot. Postanowiłam przyjrzeć się bliżej tej rzeczy. Podeszłam i podniosłam mały kajet. Zaciekał mnie on głęboko. Usiadłam więc na ławce pod dębem, otworzyłam go i zaczęłam czytać.

„Lata 1940-1944 – czytam – były dla mnie niezwykle ciężkie. Urodziłam się we wsi Buki w 1935 roku. Ojciec mój, Jan, był rolnikiem. Matka ma Lidia opiekowała się mną i starszym nieco bratem moim Józefem. Z czasów mojego dzieciństwa nie pamiętam wiele. Jednak nie ubolewam nad tym, ponieważ gdybym miała wyraźne wspomnienia na pewno próbowałabym je zatrzeć w pamięci. Otóż dnia 10 lutego roku pańskiego 1940 pod dom mój rodzinny będący ostoją czterech osób wpadli ludzie ubrani w mundury. Krzyczeli coś w niezrozumiałym dla mnie języku. Nie rozumiałam wtedy dlaczego dom mój popadł w taki strach. Wszyscy gdzieś biegali. Nikt na mnie uwagi nie zwracał. Na próżno wyczekiwałam na spojrzenie matki. Podeszłam do niej, próbowałam zwrócić jej uwagę. Krzyknęła tylko „ Dziecko moje opuszczamy dom nasz”. Te słowa mną wstrząsnęły głęboko. Nie próbowałam pytać już o nic, może to dlatego, że już więcej wiedzieć nie chciałam. Poczęłam rzewnie płakać. Nie chciałam żegnać się z domem moim, pięć wiosen wówczas liczyłam i pięć tutaj mieszkalam.

Rzeczy spakowane przez rodzinę moją zostały wrzucone na sanie. My też zajęliśmy na nich miejsca. Ruszyliśmy w nieznanym kierunku, nie znając celu drogi naszej. Śnieg padał, a my nieszczęśni jechaliśmy pod osłoną nocy. Wtulona w matkę swą znużona zimnem, strachem i łzami zasnęłam. Dalszej drogi nie dane było mi więc zapamiętać.

Okazało się, że rosyjskie władze wysiedliły mą biedną rodzinę do jednego z łagrów znajdującego się w Jercewie. Uważanego za jeden z najłżejszych. Jednak kiedy przypomnę sobie to miejsce dziękuję Bogu, że dał mi łaskę życia bo bliska byłam odejściu na wieki. Otóż w obozie tym ludzie pracowali od świtu do zmierzchu, często praca ponad ludzkie możliwości powodowała śmierć. Teraz nikt nie marzy o szpitalu, tam ludność czasami była tak zdesperowana, że kaleczyła ciało własne byle tylko dostać się do szpitala. Tak silne było pragnienie czystego łoża i odpoczynku od katongi.

Rodzice moi wstawali z nastaniem pierwszych promieni słońca o 5:30 musieli gotowi być do pracy. Przywilejem i szczęściem wielkim było, że ojciec mój Jan przy rozładunku pracował. Niekiedy zdobywał jedzenie dla nas narażając swe życie poprzez kradzież. Matka natomiast cerowała. Ja i brat mój dziećmi wówczas byliśmy więc od ciężkich obowiązków zwolnieni zostaliśmy. Jednak w łagrze choroby niemiłosierne panowały i zesłana na mnie została jedna z nich, a był to skorbut powstały na skutek niedożywienia.

Trafiłam do szpitala jako najmłodsza pacjentka. Przerazona byłam niezmiernie. Obawiałam się o swe życie. Od świtu do nocy pacierz mówiłam, którego matka ma nauczyła mnie jako małą dziewczynę. Polecałam swe zmartwienia Opatrzności i święcie wierzyłam, że Bóg mnie wybroni od okrucieństwa śmierci.

Leczenie me polegało głównie na przyjmowaniu większej ilości witaminy C. Dawano mi kwaśne posiłki, które z niechęcią spożywać musiałam. Pielęgniarki oschłe były i niemiłe mi. Pamiętam tylko jednego mężczyznę, który przychodził do mnie i pomimo bariery językowej, jako jedyny okazywał w sobie ludzkie cechy takie jak współczucie. Przyniósł mi kiedyś maskotkę starą i zdartą. Uradowałam się wielce z tego prezentu i misia na krok nie zostawiałam. Często w smutku przemawiałam do niego i opowiadałam mu jak to pięknie w Polsce jest. Jakie niebo tam niebieskie a jak trawy skoszone pachną wyśmienicie. Opowiadałam mu o ptakach śpiewających niby pieśni i o rzeniu koni na pastwisku, jak na nieboskłonie zachodzące słońce się maluje wieczorami. Jak rzeka szumi cicho acz wyraziście, jak tęcza wygląda najpiękniej na naszym polskim niebie, jak góry wysoko pną się zdawać by się mogło, że pod same obłoki i jak to niebieski kolor posiada jezioro

każde, choćby to najmniejsze. Obiecałam wtenczas pluszowej tej zabawce, że zabiorę ją kiedyś do kraju tego pięknego by sama zobaczyć mogła, usłyszeć i poczuć wspaniałość Polski naszej.

Dobrze to na mą psychikę wpłynęło gdyż podniosłam się na duchu. Chciałam żyć choćby dlatego by spełnić obietnicę daną misiowi. A Polak słów na wiatr nie rzuca jak to mawiał brat mój Józef. Nawet w najbardziej błahej sprawie swą obietnicę spełnić chce. Teraz kwaśne posiłki były zjadane bez narzekań. Musiałam wyzdrowieć i wydostać się z tego obozu to było pewne. Jednak kiedy taka okazja się nadarzy nie wiedziałam. Tego nikt nie wiedział. Wszyscy czekali na szansę, nadzieja zawsze zostaje z nami do końca.

Dobry rosyjski człowiek odwiedzał mnie często. Dawał mi niekiedy dodatkowe pożywienie bym zdrowiała szybciej i sił jak najwięcej nabierała. Nie wiem co teraz z nim się dzieje i nie wiem co robi, nie wiem czy żyje, jednak proszę Boga by mu błogosławił, gdyż to człowiek złotego serca. Zostanie on w mojej pamięci jako dobra osoba.

Nabrałam sił, policzki me nie przybrały co prawda tego rumianego koloru co na polskiej ziemi, jednak czułam się zdrowsza. Ale z sił na powrót opadłam, gdy tuż obok mojego łóża swoje miejsce zajął mój brat Józef. Zachorował tak jak ja. Zmartwiłam się tym wielce i jeść przestałam na powrót co bardzo zmartwiło Rosjanina. Teraz przychodził do mnie i brata mego też. Józio także polubił tego człowieka. Jednak strasznie cierpiał. Jego choroba przybrała bardziej zaawansowane stadium. To też postanowiłam pożyczyć mu mego pluszowego towarzysza niedoli, by i brat mój miał się do kogo wypłakać i nie czuł się samotny podczas nieprzespanych nocy. W końcu ku uciesze Rosjanina i naszych szanownych rodziców oboje wróciliśmy do zdrowia. A miś został mi zwrócony.

Na chorobach i smutku minęły dwa lata. Jako 7-letnia dziewczynka coraz więcej rozumiałam. Byłam poważna jak na swój wiek. Zresztą żyjąc w łagrze trudno o inne zachowanie. Kolorowe życie widocznie nie było pisane dzieciom z obozu. A życie toczyło się dalej i dalej, pogrążeni w monotonii chorób i pracy, my dzieci z obozów myślami odbiegaliśmy do Polski i do wspaniałości życia. Modliliśmy się o lepsze czasy.

Prośby nasze nie były próżne, zostały bowiem wysłuchane przez Boga i Stalin ogłosił amnestię. Dzięki niej wiele osób opuściło łagry i udało się ku wolności. Mnie i bratu memu przypadł ten zaszczyt także. Nieszczęściem było jedynie pozostanie rodziców naszych w rękach socjalistów. Gdy zegnałam się z matką bardzo dziwnie się poczułam. Ucisnęła mnie mocno i szepnęła do ucha „ Szanse dostałaś na życie, idźże dziecko kochane idź i miej nadzieję, że i mnie i ojca twego wyzwolą” po tych słowach odepchnęła mnie do jednego z Rosjan i płakać zaczęła łzami rzewnymi. Jakże smutno mi się zrobiło gdy pojęłam, że matka zostanie tu wraz z ojcem i że nie zobaczymy się przez lata, a być może już nigdy więcej. Trzymając swego misia zacisnęłam rękę na jego łapce. Łzy spłynęły mi po policzkach. Wyrwałam się Rosjaninowi i podbiegłam do matki przytulając ją ze świadomością, że być może to ostatni jej dotyk jaki poczuję, ostatnie spojrzenie prosto w moje oczy ze świadomością, że zostanie tu, a ja i jej syn pierwородny opuścimy ją. Ale czyż nie tego właśnie ona pragnęła, czyż ona nie pragnęła byśmy żyli bez strachu, wolni i szczęśliwi? Tak pragnęła tego jak każda matka pragnie dla swojego dziecka.

Rosjanin przerwał tą ostatnią chwilę w objęciach mej matki łapiąc mnie za ramie. Moje zapłakane oczy spojrzały na jego twarz. On również był smutny, a łzy napływały do jego oczu. To był czas gdy matkę opuścić musiałam. Rozpacz mą potęgowało to, że nie dane mi było pożegnać się z ojcem, któremu nie pozwolono opuścić stanowiska pracy.

Opuściliśmy pomieszczenie, nie wiedziałam dlaczego, ale objęłam nogi tego człowieka, gdyż on był wysoki, a ja byłam małą dziewczynką. Mężczyzna kucnął powiedział coś w swoim języku, którego nie rozumiałam jeszcze dokładnie i przytulił mnie. Płakałam wciąż, jednak chciałam spełnić wolę matki mojej.

Czasów opuszczania łagru także nie dane było mi zapamiętać. Zdaje się, że coś umysł mój przyćmiło w tym czasie i nic nie jestem w stanie sobie przypomnieć. Wiem, że po długich podróżach i licznych przykrościach trafiłam wraz z bratem do sierocińca, gdzie znajdowały się już polskie dzieci. Dręczyło mnie w ten czas poczucie niesprawiedliwości, przecież ja sierotą nie byłam tak samo jak Józio. My przecież rodziców mieliśmy, dom w Polsce posiadaliśmy, gospodarstwo.

Nie mówiłam o tym otwarcie to też nikt nie uświadomił mnie, że czasy te dawno minęły. Rodzice moi nie żyć już mogli, dom zamieszkały mógł zostać przez ludzi innych, albo co gorsza zniszczony. Gospodarstwo niepielęgnowane umiera jak człowiek bez wody. Więc stracić mogłam wszystko. Myśl jednak taka nawet do głowy mi nie przyszła. Tak więc spędzałam dni całe w towarzystwie dzieci i misia mego najwierniejszego przyjaciela. Zawiązałam nowe znajomości. Starsi uczyli mnie pisać troszkę po polsku, tyle ile oni potrafili tyle przekazali mi. Byłam z tego niezmiernie dumna. Pisać potrafiłam po polsku a wszakże nie każde polskie dziecko wtedy to potrafiło. I choć jedyne słowa jakie umiałam wtenczas napisać brzmiały „ Zofia Szpak” oraz „ Polska” radowałam się wielce. Toż i mój braciszek uczył się pisać, potrafił więcej ode mnie z czego tak samo uradowana byłam.

W sierocińcu nie było tak do końca dobrze, narzekać się nie odważyłam w obawie, że mnie znów do ciemnego łagra wywiozą. Opiekunki nie zwracały na nas szczególnej uwagi. Lekarzy nie było więc, gdy ktoś chorobę złapał sam sobie z nią radzić musiał. Czasami dzieci umierały, co dla mnie było nie pojęte. Byłam zła na siebie, że nic z tym nie zrobiłam, że nie pomogłam. Tak bardzo nie chciałam śmierci niczemu nie winnych dzieci. Okropnie się z tym czułam. Najgorzej było gdy zmarła 5-letnia dziewczynka Ania. Płakałam wtedy strasznie z bezradności i bezsilności. Brat wsparciem był dla mnie i rzekł „ Pamiętaj, to Bóg ją powołał, to Jego siła ją zabrała, być może tam lepiej będzie miała. Ty nic zrobić nie mogłaś. Ludzie odchodzą zawsze, ale nigdy nie na zawsze”. Ostatnie zdanie tak mną wstrząsnęło. Do tej pory mam przed oczami uśmiechniętą twarz małej Anny i wiem, że nie zostawiła nas na zawsze bo wciąż żyje w moim sercu i ma swoje miejsce w moich myślach.

W tamtej chwili postanowiłam, że pielęgniarką lub lekarzem zostanę. Pomagać ludziom chciałam i wiedziałam, że swego dopnę. O swych celach nikomu nie wspominałam w obawie przed wyśmianiem, postanowiłam zachować tę tajemnicę tylko dla siebie i maskotki mej, której pomimo wieku swego wszystko opowiadałam.

Wkrótce sierociniec zamknięty został. Choć nie wiedziałam co się z nami dziećmi z sierocińca stanie, cieszyłam się bo nadzieją żyłam na lepsze warunki. Nadzieje me zgubne nie były. Trafiłam wraz z inną grupą polskich dzieci do Isfahanu w Iranie. Zostaliśmy osadzeni w różnych zakładach. Byliśmy tu uczeni polskiego języka, dostawaliśmy posiłki regularnie a śpiąc w ciepłych wygodnych łóżkach nabieraliśmy coraz to więcej sił. Szczęśliwa do końca jednak nie byłam. Bałam się, że to tylko taki początek, a potem gdy oswoimy się z tymi ludźmi i zaufamy im zostaniemy wywiezieni z powrotem do zamkniętych brudnych sierocińców bądź co gorsza socjalistycznych łagrów. To też gdy po stosunkowo krótkim pobycie w Isfahanie mieliśmy zostać gdzieś znowu przetransportowani bałam się strasznie.

Tak jako 9-letnia dziewczynka zostałam z innymi lokatorami ośrodka umieszczona na statku. Statku do Nowej Zelandii. Wtenczas nie wiedziałam czego się spodziewać. Doznałam w życiu tyle przykrości, że byłam na nie wyczulona i starałam się unikać niezaplanowanych sytuacji i przestrzegać regulaminów. Późniejsze lata sprawiły, że nie do poznania się zmieniłam. Jak gdyby ktoś w moim ciele umysł zamienił, ale o tym potem.

Na statku atmosfera była dobra. Z żołnierzami dobre stosunki mieliśmy. O jak ja kochałam te dni ,w których rozdawane nam były cukierki. Czasami udało mi się zdobyć dwa. Jednak nie jadłam ich sama. Na statku był także chłopiec Zbyszek. Nieśmiały strasznie, strachliwy sam wstydził się o przysmak poprosić. Dlatego dzieliłam się z nim zawsze, nie chciałam by smutno mu było. Zbyszek zresztą nie pozostał mi dłużny. Potrafił on coś czego ja nie umiałam. Strugał on w drewnie różne zwierzątka. Podkładałam się zatem czasem by „pożyczyć” nieco drewna z ładowni statku. Przynosiłam chłopcu parę drewnianych klocków a on pokazał mi jak to robi. Radowałam się wielce z tych lekcji, dumna z siebie byłam niezmiernie ,gdy udało mi się wystrugać małego ptaszka. Raz nawet obiecałam koleżance mej serdecznej Marysi, że i dla niej wystrugam takiego. Miała za to oddać mi swą spinkę do włosów. Jednak smutek jaki w jej oczach zobaczyłam gdy mi ją oddawała nie pozwolił jej zabrać. Toż Marysieńka z wsuwką została i z ptaszkiem.

Gdy dotarliśmy do Nowej Zelandii tego samego dnia zostaliśmy odwiezieni do obozu polskich dzieci zajmującego miejsce swe w Pahiatua. Tam źle wcale nie było i zbędne okazały się

być me obawy. Tu również swoją szkołę posiadaliśmy, łoża własne i posiłki, oraz opiekunki życzliwe nam. Wspaniale można by rzec. Jedna rzecz tylko spokoju mi zaznać nie dała na czas dłuższy. Była to sprawa rodziców moich, za którymi tęskno mi było. I często z tego powodu popadałam w przygnębienie, co martwiło nasze opiekunki. Ale bardziej brata mego Józia. Chciał bym wesołość życia odzyskała jak inne dzieci w tym obozie. Zapewniał mnie, że oni czekają na nas w Polsce, że wrócimy tam niebawem. Tak bardzo w to wierzyć chciałam lecz nie potrafiłam całkowicie. Wtedy brat mój zdał sobie sprawę, że nie może mi już dłużej oczu na rzeczywistość kłamstwami zamykać. Powiedział więc dnia pewnego „Zośka, być może rodzice nasi nie żyją już. Pewności tej jednak nie mamy. Oni na pewno chcieliby byś żyła jak najlepiej. Tu taką szansę masz. Dla matki swej „dla ojca i dla mnie proszę zacznij żyć pełnią tego co masz. A obiecuję ci, że do Polski wrócimy!” Objął mnie wtedy mocno. A mi łzy nie spłynęły, ta prawda cały czas zajmowała swe miejsce z tyłu mojej głowy i chyba tego właśnie potrzebowałam. Potrzebowałam konkretnej prawdy. Ale to nie był koniec wiadomości. Brat wyjął małe zawiniątko z kieszeni i pokazał mi kartkę „po czym powiedział „ A tu nadzieja nasza. Adres zamieszkania, oraz list do ciotki naszej i kuzynostwa. Matka wręczyła mi go byśmy do Ojczystych stron wrócić mogli. Gdy czytać się nauczymy dobrze i polski znać będziemy wyjedziemy”

Uradowało się serce me niezmiernie. I od tej pory normalnie żyć zaczęłam. Uczylałam się pilnie, by jak najprędzej do naszych ojczystych łąnów wrócić, gdzie kołyska moja stała i moich przodków. Wkrótce policzki me przybrały kolor ten rumiany co na polskiej ziemi. Ponadto moja twarz znów zdobiona była tym uśmiechem urwisa co w domowym zaciszu jak to mój brat mówił. To i ochota na żarty przyszła. Raz podrzuciłam Marysi biednej kochanej do jej łoża robaka z ziemi wyciągniętego. Jakże wtedy przerażona była. Zrobiło mi się jej szkoda i przeprosiłam ją w zamian nie doniosła na mnie opiekunkom. To żartów mi z głowy nie wybiło i dalej straszylałam inne dzieci. Zazwyczaj uchodziło to na sucho tylko raz kare dostałam i filmu z innymi nie dane było mi obejrzeć. Mogłabym uniknąć tej nagany za oddanie straszonemu chłopcu misia mego, którego w owym czasie choroby szlachetny Rosjanin mi podarował. Nie poświęciłam jednak maskotki co dla mnie tak wiele znaczyła.

W obozie wszyscy mówili do mnie „Zośka”, nawet nauczyciele i opiekunowie. Nic przeciwko temu nie miałam. Podobało mi się to zdrobnienie. Jednak nie wszyscy swoje przydomki z taką dumą jak ja nosili. Otóż w Pahiatua chłopak był, którego „dzieciatko” zwali, kiedyś bowiem na filmie przestraszył się strasznie, płakać zaczął i krzyczeć. Uciekł potem do opiekunki i wtulił się w jej spódnice. Dzieci się śmiały strasznie z niego, i przezywały. Smutno mu było i chował się przed najstarszymi. Kiedy raz jeden chłopiec pobić go próbował ja zauważywszy to stanęłam w jego obronie. Krzyczałam o pomoc jak najgłośniej mogłam. Wtedy oprawca biednego malca przytknął mi dłoń do ust. Prosił żeby nic nikomu nie mówiła, a chłopca zostawi w spokoju, słowem honoru wszystko przypieczętował i odszedł. Dumna byłam kolejny raz z siebie. Oto ja Zośka Szpak uratowałam chłopca biednego przed pobiciem, jeszcze kilka dni po tym chodziłam z wypiętą piersią.

Ranka pewnego obudziłam się z koszmarnym bólem zęba. Nie wiedziałam co robić, chciałam powiedzieć którejś nauczycielce jednak odwagi nie miałam, serce me strach przepełniał, że to coś poważnego i żywot mój skończę w Nowej Zelandii daleko od ziemi ojczystej. Nie wiem czy chciałam wtedy uniknąć potwierdzenia tych podejrzeń, wiem na pewno, że iść nie chciałam do dentysty. Ból stał się jednak nie do zniesienia, ciągle się potęgował. Nauczycielka sama zauważywszy mój problem wysłała mnie do lekarza. Okazało się, że nie było tak źle jak mi się wydawało. To tylko nowy ząb wyżywał mi się spod spodu. Strach mój niesłuszny był. Dentysta pokazał mi swój sprzęt objaśnił co do czego służy. Spodobało mi się bardzo, potwierdziło się wtedy moje powołanie. Już wiedziałam, że lekarzem zostanę i chciałam się kształcić w tym kierunku. Zdolna byłam, więc moje marzenia realne były.

Z upływem lat coraz bardziej poważniałam, częściej nauką się zajmowałam niż zabawą z innymi dziećmi. Zacytana w książkach od rana do wieczora traciłam poczucie czasu. Nie uczyłam się z przymusu acz z własnej chęci, nauka mnie ciekawiła. Często na lekcjach jednak odbiegałam myślami, dokąd? Właśnie do Polski do ojcowskiej ziemi a często również po mojej głowie wędrowały myśli o gabinecie lekarskim. Myśląc tak i marząc na lekcji kaligrafii piórem na kartce

zaczęłam rysować moje wyobrażenia. Nie zdawałam sobie sprawy, że wychodzi to całkiem dobrze. Po skończonej lekcji dopiero, gdy salę opuszczaliśmy uradowana, że nie przyłapano mnie na rysowaniu równowagę straciłam i upadłam a szkice wypadły mi zza okładki. Nauczycielka spostrzegłszy mój wypadek pomoc mi nieść chciała. Pomogła mi wstać, a następnie rysunkom mój się przyglądać poczęła. Zdziwiona pytaniami mnie zalewała gdzież ja taki gabinet ujrzałam, wyobrazić sobie można jakież jej zdziwienie było gdy powiedziałam, że to z mojej wyobraźni na papier przelałam. Prosiła bym rozwijała się w tym kierunku, postanowiłam jednak wierna być mojemu powołaniu, chciałam nieść pomoc innym ludziom. Bo jakież pożytek byłby z moich rysunków, a jaki z leczenia. Miałam jednak zamiar rysować sobie raz na jakiś czas moje wyobrażenia.

Gdy nie uczyłam się, chodziłam do kościoła i na zbiórki harcerskie. Dzięki hojności wielce ujmującej Nowozelandczyków, mieliśmy polski kościół. Radowaliśmy się wszyscy, że w Mszy świętej prowadzonej w ojczystym języku uczestniczyć dane nam było. Uczyliśmy się polskich kościelnych pieśni. W święta czasami śpiewaliśmy podczas mszy. Do serca mego najbardziej przemawiała „Boże coś Polskę”. Dumna byłam wielce, gdy słowa jej na moich ustach brzmiały i choć ujmującym talentem obdarzona nie byłam, chętnie śpiewałam.

Co do religijnych kwestii, życia wspomnieć mi jeszcze obowiązkiem jest, żeśmy świąt ważnych w obozie nie spędzali. Na ten czas rodziny nowozelandzkie przyjmowały nas pod swe dachy. Ja i brat mój trafiliśmy na Boże Narodzenie do państwa Smith. Młoda kobieta wraz z mężem swym dawali nam poczucie bezpieczeństwa. Kiedy wspólnie do stołu zasiadaliśmy, żal mi było wielce i tęskno. Niby miałam tu opiekę, Smithowie byli mili, jednak gdy patrzyłam na ich twarze, nie widziałam oczu matki mej i uśmiechu ojcowskiego. Tak wtedy chciałam, aby mama do piersi swej mnie przytuliła, objęła delikatnie. Tak chciałam usłyszeć jej ciepły spokojny głos, popatrzeć w jej głębokie niebieskie oczy. Tak chciałam z ojcem porozmawiać chciałam by jak za dawnych lat posadził mnie u siebie na kolanach choć już dużą panienką byłam. Pragnęłam głęboko spędzić ten czas razem z moimi rodzicami umiłowanymi i bratem. Marzyłam o rodzinnej atmosferze choć jedyny ten raz w roku całym.

Możliwości tej jednak nie było, pocieszałam się tym, że chociaż mam zastępczą rodzinę, która pokochała mnie i mego brata sercem całym, gdyż własnych pociech nie mieli. Dawali nam to na co każde dziecko zasługuje dawali miłość, którą nienawistni chciwi ludzie przed laty nam odebrali podle.

Z Polskich świąt wiele nie pamiętam, wiem że strojone było w świece drzewo iglaste. Zapach niósł się po wszystkich izbach a tata unosił mnie wysoko, bym była w stanie nałożyć na jego czubek kokardę złotą. Tutaj u Smithów drzewek nie stroiliśmy. Pierwszego dnia zasiedliśmy za to do wspólnego posiłku. Podany był indyk w warzywach, smakował wybornie, tak samo jak podane później ciasto. Takich przysmaków brakowało mi czasem w obozie. Po posiłku czas nadszedł na obdarowanie się prezentami. Strach złapał wtedy moje serce. Przygotowałam dla mej rodziny zastępczej małego aniołka z drewna wystruganego. Obawiałam się, że państwo się z niego nie ucieszą. Jednakże gdy spostrzegłam uśmiech delikatny i radosne oczy pani wiedziałam już, że prezent mój nie zostanie wrzucony w kąt jako jakaś bezużyteczna nic nie znacząca rzecz. Pan postawił go na pięknej drewnianej szafie, na której stały zdjęcia czarno-białe. Powiedział, że zawsze pamiętać będzie o mnie i o Józiu dzięki tej małej figurce. Ja natomiast od państwa dostałam książkę medyczną o układzie krwionośnym. Jakże uradowana wtedy byłam, ochota mnie przepelniała aby czytać ją od razu. Wiedziałam jednak, że byłoby to niegrzeczne wobec tak dobrych ludzi, a urazić ich nie chciałam w żaden sposób.

Wieczorem razem zasiedlimy, by czytać historię chłopca sierotki. Łzy popłynęły mi z oczu. Tak się przejęłam jego losem. Wtedy pani Smith mnie mocno przytuliła. Poczulałam więc z tą kobietą, nie chciałam opuszczać tej pary. Co dobre jednak szybko się kończy i tak należało powrócić do obozu.

Wspominałam wcześniej o harcerstwie. Posiadaliśmy polski zastęp do którego okazję należeć miałam. Wraz z kolegami i koleżankami z harcerstwa wieczorami zasiadaliśmy przy ognisku. Jolka grała nam na gitarze pieśni obozowe takie jak „Płonie ognisko i szumią knieje”.

Była to moja ulubiona harcerska piosnka. Gdy patrzyłam w ogień i słuchałam jej przenosiłam się w swych myślach do domu rodzinnego. Widziałam ojca i matkę i mnie jako małą ówczasie dziecinę 5 wiosen liczącą. Błogie uczucie to nosiło się ze mną długo, puki ogniska blask nie zagaśł. Czułam się jak ta dziewczynka z baśni me marzenia trwały do puki ogień tlił się na rozległym obłożonym kamieniami ognisku. Kiedy ognisko zagaśło zupełnie, moje myśli wracały do naszej „Małej Ojczyzny” w Nowej Zelandii. W zastępie tym, także historii tej prawdziwej ojcowskiej ziemi się uczyliśmy. Radowało mnie to zawsze. Historie o Królu Kazimierzu i Jadwidze królowej zawsze mą uwagę na sobie skupiały. Uwielbiałam słuchać jak to Kazimierz Wielki umocnił nasz kraj i jaka Jadwiga żona Władysława Jagiełły roztropna i mądra była mimo swego wieku młodego.

Tak życie miało mi w tym kraju. Bezpiecznie się tu czułam i dobrze bo nigdy niczego brak mi nie było i krzywd nie zaznałam żadnych. Myślałam, że ostanę tu do uzyskania pełnoletności. Myliłam się jednak. Otóż gdy 14 lat liczyłam to było w 1949 roku, obóz nasz rozwiązano. Cała ta sytuacja wprawiała mnie w zakłopotanie. Bałam się, gdyż nie wiedziałam co z nami teraz poczną. Zmartwiłam się, że znowu w Rosyjskie ręce się dostaniemy. Obawy me po raz kolejny się nie sprawdziły, za co wdzięczna Opatrzności jestem wielce. Po prawie 5 latach obóz ten stał się moim drugim domem. Tutaj jednak znów z pomocą Smithowie przybyli. Zaadoptowali mnie i brata mego Józefa, by zapewnić nam dobrobyt i dobre warunki do dalszej nauki. Z całego serca podziękowania im składałam za ten czyn.

U tej rodziny dobrze się czułam, tym bardziej gdy przybywszy do ich domu spostrzegłam przeze mnie wystruganego aniołka, którego na święta im podarować zaszczyt miałam. Stał w tym samym miejscu co wtedy otoczony tymi samymi fotografiami. Dziwne wtedy uczucia mnie ogarnęły, jakby szczęście, zaskoczenie, duma. Nie sposób mi określić jest i nadać nazwę temu co wtedy we mnie się zrodziło.

Smithowie posłali mnie do szkoły nowozelandzkiej, uczęszczały tam też niektóre dzieci z obozu i kontakt z nimi dobry miałam, więc łatwiej było mi się zaaklimatyzować w nowym otoczeniu. Jedyne co smutkiem wielkim wtedy objawiało się w mojej duszy było rozwiązanie zastępu polskiego harcerstwa. Nowa rodzina proponowała mi wprawdzie wstąpienie do innego zastępu jednakże nie chciałam tego. Stwierdziłam w tamtej chwili, że to znak iż powinnam naukom się zając by móc spełnić swe marzenie o pomaganiu innym ludziom poprzez medycynę. Rodzice zastępczy popierali mą myśl. Cieszyli się z mego zaangażowania jakie w ten czas objawiałam. Nie pozwolili jednak bym ostała samotna w stosie książek, zabierali mnie na spacer, na basen, na boisko. Wszystko to na dobre mi wyszło, gdyż zdrowsza byłam i silniejsza. Nie obyło się jednak bez chorób, kilka razy ciepłoty dostawałam, dzięki pomocy lekarzy i troskliwej opiece zawsze szybko zdrowiałam. Mój brat umiłowany niestety słabsze miał zdrowie i częściej w choroby rozmaite popadał.

Czas wkrótce taki nadszedł, że iść na medycynę przyszła pora. Podekscytowana tym byłam i nie chciałam zawieść moich rodziców. Mój brat 3 lata wcześniej ode mnie poszedł kształcić się na inżyniera budownictwa. Kierunki nasze były odmienne bardzo, jednak i jedno i drugie było popierane przez matkę i ojca zastępczych. Podczas gdy chodziłam na medycynę, bardzo dużo uczyć się musiałam. Poznałam tam Olivię. Razem wychodziłyśmy po szkole na spacer i razem uczyłyśmy się do egzaminów. Olivia we wszystkim mi pomoc niosła co bardzo mnie cieszyło. Zresztą i ja nigdy jej w potrzebie nie zostawiałam. Stała się moją bratnią duszą, i bardzo się zżyłyśmy. Dlatego często przebywałam w jej rodzinnym domu. Rodzice Olivii również mnie lubili. Odnosili się do mnie i do mojej historii ciężkiej z szacunkiem. Szczęściem wielkim dla mnie było traktowanie takie przez innych, zawsze dostawałam dużo wsparcia od innych ludzi co mi pomagało.

Gdy 20 lat liczyłam i już panną rzec można dorosłą byłam, coś w rodzinie zastępczej psuć się zaczęło. Matka się rozchorowała ciężko. Po różnych doktorach jeździła i rozmaite zażywała lekarstwa. Nic jednak jej lepiej nie było. Zmartwieniem moim to się głównym stało i nauka odstawiona przeze mnie została na boczny tor. Liczyło się tylko zdrowie pani Smith. Brat mój też przejął się wielce, jednakże najbardziej cierpiał pan domu. Gdy matka do szpitala trafiła, i ratunku już dla niej nie przewidywali ojciec popadł w ruinę. Załamał się i uciekał od rzeczywistości mącąc mądry umysł alkoholem. Sytuacja ta przykra była. Gdy patrzyłam w oczy pani, a ona pytała, co z

jej małżonkiem w miłości zawsze wiernym, ja odpowiadałam, że wszystko dobrze. Kłamałam kobiecie dobrej jakże i miłosiernej w żywe płonące nadzieją oczy. Nie chciałam mówić, o tym jak sytuacja ojca wygląda i co się z nim dzieje. Obawiałam się, że mogłoby to przyspieszyć jej odejście. Gdy oczy me zwrócone były na łożo szpitalne, w którym leżała ta wielka sercem kobieta, nie mogłam powstrzymać łez. Przypominałam sobie chwile mej choroby w łagrze i Rosjanina owego dobrego, który pocieszenie mi niósł. Przypominały mi się inne chore osoby leżące w szpitalu w Jercewie, ich zmarnowane twarze czekające na śmierć. Przypominał mi się ojciec mój i matka prawdziwi i znowu myśleć o tym czy żyją jeszcze poczęłam. Odwróciłam się do okna i kryłam łzy przed chorą matką, nie chciałam by spostrzegła, że płaczę i nie chciałam by w moich oczach kłamstwo zobaczyła. To, gdy wyrwałam się z płaczu nareszcie mogłam odwrócić się ku matce konającej. Podeszłam do łoża i zauważyłam jej opadłe powieki spokojną i uśmiechniętą jak zawsze twarz, jednak zdołałam także zobaczyć, iż jej klatka piersiowa już się nie podnosi. To była ta chwila, w której odszedł z tego świata. Anioł nam zesłany, mój i mego brata był to anioł, anioł stróż. Nie mogłam pojąć dlaczego to Bóg zakrył jej oczy na wieki, nie mogłam pojąć czemu to ją powołał do Siebie. Może pewien był, że ja i mój brat już sobie radę damy, a na tą kobietę czekało być może jeszcze jakieś inne zadanie.

Na domiar złego brat mój informację mi przyniósł niemiłą wielce. Dowiedział się, że biologiczni rodzice nasi, zostali wypuszczeni na wolność jednakże podczas wojny jaka w owym czasie miejsce miała, zginęli jak i tysiące innych ludzi. To dodatkowo serce me rozpruło i przykrość wielką sprawiło. Nie zrezygnowałam jednak z zamiaru powrotu do Polski.

Po śmierci matki przybranej nie było gdzie wracać, ojciec dom zatracił, nie miałam mu tego za złe, załamał się z powodu choroby ukochanej małżonki. Toć myślałam, że i na pochówek jej przyjść nie zdoła. Jednakże gdy stałam przed trumną z napisem „Ana Smith” ktoś położył mi dłoń na ramieniu. Odwróciłam wzrok ostrożnie i ujrzałam ojca. Stał ze łzami w oczach i rzekł „Przebac mi córko, przebac synu i przebac żono, przebaczcie mi winy me”. Przytuliłam ojca bez słowa, bo czasami jeden czyn wyraża dużo więcej niż tuziny słów. Jeden fakt potrafi odmienić człowieka, który pomimo tysięcy uwag i próśb nie chciał się odmienić.

Dom, w którym wcześniej mieszkałam zmienił się, nie był już wesoły, gdy tam się znajdowałam depresyjny nastrój czułam. Przytłaczająca atmosfera tam panowała po śmierci pani Smith. Pan postanowił więc, że skupić mi się lepiej będzie w innym domostwie gdzie nie przytłaczać mnie nie będzie. Tu z pomocą przyszła mi Olivia wraz z rodzicami swymi, przygarnęli mnie pod dach domu swego bym mogła się uczyć i odciąć od przykrych wydarzeń. Niezmiernie wdzięczna im za to byłam, bo to właśnie pod ich opieką ukończyłam medycynę i zajęłam stanowisko lekarza dziecięcego. Duma znów uniosła mą pierś, jakże się radowałam z tego, tak samo zresztą jak ojciec i brat mój. Olivia także zakończyć zdołała ten sam kierunek.

W późniejszych latach pracowałyśmy razem w przychodni dziecięcej w Nowej Zelandii. Na samym początku pracy wystraszona byłam nieco z obawy by błędnej diagnozy nikomu nie stawić. To jednak nigdy mi się nie zdarzyło. Młodzież chyba nie miała obaw przed wizytami u mnie, takie co najmniej wrażenie odnosiłam. Pacjenci często po kuracji zakończonej do mnie przychodzili z rodzicami składać podziękowania. Radowało się serce moje na widok tych twarzy roześmianych. Cieszyłam się, że chociaż oni dobre, szczęśliwe dzieciństwo mają.

W klinice poznać mi dane było Williama. Również był lekarzem. Ujął mnie swym zaangażowaniem do pracy i uwagą poświęcaną każdemu dziecku. Oddany był pracy swej, a ponadto był szarmancki. Jak się okazało i ja nie byłam mu obojętna. Tak też właśnie poznałam mego przyszłego męża. W 1963 roku w Nowej Zelandii odbył się mój ślub. Przejęłam nazwisko Harris i uszczęśliwiona byłam niezmiernie. Brat mój ożenił się i nazwisko Szpak jak mniemam przez wiele pokoleń w Nowej Zelandii da się spotkać. Ja z małżonkiem mym zamieszkałam w jego rodzinnym domostwie gdzie serdecznie przyjęta zostałam przez wszystkich członków jego rodziny. Czułam się tam bezpiecznie, szczególnie, że nikt nie pytał o rodzinę mą, gdyż wiedzieli wszyscy co się stało od Williama. I tak wiedliśmy szczęśliwe życie, a w 1965 roku jako 30 letnia kobieta doczekałam się dziecięcia pierwszego. Syn mój pierworodny dostał imię Jan po ojcu moim, a jego dziadku. Umiłowałam go sercem całym, zdrowym i silnym był chłopcem. Tak samo jak jego rok

później urodzona siostrzyczka Ana imię to zostało nadane na cześć matki zastępczej mojej. Dziewczynka też rosła szybko i w zdrowiu. Tak właśnie stworzyliśmy wszyscy jedną kochającą się rodzinę. Dzieci wychowywałam w świadomości co stało się lata temu z moją rodziną, by nauczać je prawdy, dawałam im miłości wiele, jednak nie rozpieszczałam dzieci własnych. Nadzieję miałam, że wyrosną na dobrych ludzi i przekazywać im się starałam to co najważniejsze.

Gdy trochę pociechy podrosły i do szkoły poszły dziękowałam Bogu, że takie możliwości przed nimi rozłożył. Dumna byłam, że dzieci zdolne są i chęć do nauki przejawiają.

Lata mijaly powoli, a ja wciąż o ojcowskiej ziemi pamięć miałam. Często mężowi memu mówiłam o chęci mej powrotu do Polski. On wspierał mnie sercem całym i wierzył, że kiedyś taka okazja nadejdzie. Na razie jednak mogłam o tym zapomnieć, gdyż dzieci małe opieki wymagały.

Tak życie toczyło się wciąż, w spokoju i uważam, że nic ważnego do spisania tutaj nie posiadam aż do 1990 roku. Wtedy właśnie wczesną wiosną w dniu mych urodzin dzieci me prezent mi sprawiły i postanowiły ze mną wyjechać do upragnionego miejsca do Polski mej prawdziwej ojczyzny. Uradowało się serce moje, gdy spostrzegłam, że brat mój razem ze mną wyjeżdża. Jedynym mym zmartwieniem było, że mąż mój został w Nowej Zelandii. To było tylko kilka dni poza domem, ale jak wiele dla mnie znaczący.

Gdy dotarłam tu do Warszawy do ziemi ojczystej brat mój próbował odszukać informacji na temat wsi Buki, w której wcześniej mieszkaliśmy. Tu Bóg znowu dopomóc nam chciał i trafiliśmy do dawnego miejsca zamieszkania naszego. Zapukaliśmy do drzwi domu, gdzie wcześniej nasze domostwo stało. Otworzyli nam młodzi ludzie, powiedzieliśmy w jakim celu przybywamy, a ci do środka nas zaprosili. Całą naszą historię z wielkim zaciekawieniem wysłuchali. Mimo, iż nie wiedzieli nic o naszej rodzinie i o jej losach, chcieli nam pomóc odszukać korzenie. Próbowali szukać adresu zamieszkania zapisanego na kartce podarowanej bratu memu przez matkę. Nic jednak nie udało się zdziałać, adres ten od dawna posiadał innych lokatorów.

Pomimo to i ja i brat mój szczęśliwi byliśmy, że w Polsce jesteśmy. Pięknie na tej ziemi jest. Spędziłam tu zaledwie 3 dni, a już pora była do drugiej ojczyzny wracać do Nowej Zelandii. Co prawda tęskno mi było do męża, ale zostać tu chciałam dłużej.

W domu już mym z mężem rozmawiałam o ojczystych moich ziemiach i powiedziałam, że na zawsze pragnę do nich wrócić. William wiedział jakże to dla mnie ważne. Nie chciał mi tego utrudniać jednak nie chciał też ze mną wyjechać tak samo jak Jan i Ania. Rozumiałam, że mąż ma tu swe korzenie, a dzieci przyjaciół i pracę. Najbardziej zadziwiło mnie jednak, że Józef wracać także nie chciał. Postanowiłam, że chcę umrzeć na ziemi, na której matka mnie urodziła. Do Polski wyjechałam na stałe w 2005 roku. Dzieci me odwiozły mnie do kraju i pomogły wynająć mieszkanie w Krakowie na ulicy Cichej. Pożegnałam się z nimi, z nadzieją że wkrótce wszyscy mnie odwiedzą tutaj, w królewskim polskim mieście. Tak też się stało spotykaliśmy się co roku w okresie świąt Bożego Narodzenia, a niekiedy również w czas urlopu i wakacji. Ogromnie radowało się serce widząc jak dzieci me i wnuki poznają Polskę, czasem budziła się nadzieja, że pokochają ten piękny kraj i zamieszkać tu zechcą.

Po 7 latach pobytu w Krakowie kiedy wydawać się mogło, że wszystko co złe minęło, los znowu okazał się srogi. Dostałam udaru, uniemożliwiło mi to samodzielność, miałam trudności z poruszaniem się. Z tegoż to powodu w 2012 roku zamieszkałam w domu spokojnej starości.

Teraz u schyłku życia spokojna już jestem bo pragnienie swe spełniłam. Niczego mi nie brak. Chociaż tęskno do rodziny, powoli przywykam. Te wszystkie smutne chwile opisane tutaj jak i te wesole, postanowiłam utwalić by były źródłem wiedzy dla osób, które żyją w dostatku lecz i tak ciągle narzekać potrafią na swą sytuację.

Zofia Szpak-Harris”.

Podczas czytania tych wspomnień łzy kilka razy napłynęły mi do oczu. Oddałam pamiętnik właścicielce. Pani Zosia, miła kobieta, przytuliła mnie dziękując za to. Powiedziała, że widzi we mnie dobrą osobę i odeszła prosząc mnie abym chwilkę poczekała. Wróciła niosąc jakąś rzecz. Pokazała mi starego wytartego misia, widać było, że wiele lat miał już za sobą i wiele przeszedł. Ten miś to niejako milczący świadek historii życia pani Zofii.